

# ZBIERACZ

## LITERACKI I POLITYCZNY.

### ŻYWY-UMARŁY.

*Zdarzenie prawdziwe z pamiętników pewnego angielskiego lekarza.*

Niebawem miała uderzyć 4rta, a ja do mojej prelekyi nie byłem jeszcze przygotowany. Czulem się mdłym i niespokojnym, i jakieś niezwykle przejmowało mię drażnienie nerwów. Przez ciąg zeszłego tygodnia nie miałem ani jednej chwili spokojnej, wielu niebezpiecznie chorych, których stan wymagał nieustannej staranności, wzywało mię do siebie. Szczególniej jeden z nich, podpora licznej rodziny, wielce mię nie pokoił, i najżywsze obudzał we mnie współczucie. W takim usposobieniu umysłu wsiadłem do powozu, w chęci udania się do sali prelekeyj publicznych, gdy w tém oddano mi niezapiecztowany bilecik. Otwieram go co prędzej, i wyczytuję, że nie-

szczęśliwy H\*, który mię tak mocno obchodził, umarł. Cios tém dotkliwszy był dla mnie, że nie miałem nawet pociechy przewidzieć tego nieszczęścia, i przygotować rodzinę chorego do zaiesienia okropnej boleści... Wpadłem w jakieś machinalne otrętwienie, i dopiero na głos mego woźnicy, pytającego gdzie ma jechać, przyszedłem do przytomności i odpowiedziałem: «Do collegium.»

Przyszedłszy do drzwi wchodowych, rzuciłem wzrokiem w salę prelekeyi, która nigdy jeszcze nie była tak pełną; idąc między rozmawiającemi słuchaczami, usłyszałem nazwisko sławnego lekarza, który się miał znajdować w ich gronie. Obiedwie te okoliczności, w każdym innym czasie przyniosłyby mi największą radość, a teraz obudziły tylko niespokojność, a ta najwyższego doszła stopnia, kiedy dym spostrzegł, że swoim ze-

szyty zapomniał w powozie, który odprawiłem, mając zamiar pieszo wracać do domu. Coraz niespokojniejszy i niepewny, co w tym kłopotcie począć, otwarłem swój puliares, szczęśliwym trafem oczy moje padły na nowe i ciekawe postrzeżenia o oblakaniu umysłu; co spowodowało mię wyłożyć ten przedmiot bez poprzedniego przysposobienia się. Nie mało mię kosztowało mozółu zdobyć się na pierwsze wyrazy związek mające; jakałem się i zaciinałem za każdym słowem. Nakoniec nabrałem otuchy, a natężona uwaga, z jaką mnie słuchano, dodała mi cokolwiek zaufania w siły swoje. Coraz to więcej przybywało mi zapалу; szybkość z jaką pomysły jedne następowały po drugich, obudziła władzę ducha mego w najwyższym stopniu; wyrazy idące mi w pomoc do oddania pomysłów, płynęły z ust same przez się, nie zadając mi pracy w ułożeniu onych; wykładałem jasno i z zadziwiającą, szybką płynnością. W tém uczulem pewien rodzaj instynktowego wzdrygnięcia się. Nadprzyrodzona siła, utrzymująca mię

dotąd, zaczęła opuszczać mię powoli; pomysły moje zwickły się, obce postacie, fantastyczne kształty wily się przed memi oczyma; przedmioty, o których mówiłem, ożywiły się, i obskooczyły mię zewsząd; głęboka cisza rozległa się w sali, a wszystkich oczy wlepiły się we mnie. Nagle okropna myśl rodzi się we mnie, konwulsyjny, rozgłosny uśmiech wywyka się z piersi mojej, aja wołam: «Patrzcie na mnie! wszak widzicie, ja także oblakany jestem!» Słuchacze moi zerwali się pionem wszyscy razem... krzyk przestachu i trwogi ze wszystkich ust się rozległ... co potem się stało — nie wiem.

Gdym znowu do pamięci powrócił, leżałem w łóżku. Doktor G., zbliżył się, i przez kilka minut bacznie się we mnie wpatrywał. Postrzegłem, że pobladł na twarzy; a kiedy mi palce na żyle pulsowej położył, zadrzała mu ręka i wyrzekł ze smutkiem: «Boże mój! ach, jakże on zmieniony!» Poczém usłyszałem głos pytający za drzwiami: «Czy mi wolno wejść do pokoju?» Lekarz nie dał odpowiedzi, a żona moja po cichu

weszła. Schyliwszy się nademną, lzy jej gorące kroplami padały na moje czoło; potem ująwszy mię za rękę, zbliżyła usta do mego ucha i rzekła: «Williamie, poznajesz mię?» Po tém pytaniu długa nastąpiła cisza. Usilowałem odpowiedzieć, lecz nie mogłem ani słowa wyjęknąć; ona ze łkaniem zawołała: «Ach! on mię już nie poznaje!». Potém doktor wziął moję żonę za rękę, chcąc ją wyprowadzić: «Jeszcze nie, jeszcze nie!», rzekła opierając się; a ja zapadłem w zupełną nieczulość. Nakoniec kiedym znowu odzyskał wiedzę, zdawało mi się, że się ze snu głębokiego ocknąłem. Oczy moje pałały ogniem i powlokły się, jakby zasłoną; nie mogłem już poznać, czyli kto jest przy mnie w pokoju. Powoli jednakże przedmioty stawały się mniéj niewyraźnemi; widziałem nawet doktora, siedzącego przy mojem łóżku. Nachylił się nademną i rzekł: «Jeszcze ci teraz lepiej Williamie!». W tym momencie niepodobieństwo wytłumaczenia moich chęci, stało się dla mnie męczarnią. Potrzegłem téż, że moje władze umysłowe

stopniowo ubywały, i że śmierć unosiła się nademną. Wytężenie z jakiém chciałem się wydrzeć z tego snu śmierci, musiało być bardzo gwałtowne, bo zimny pot wystąpił mi na całe ciało; usłyszałem szum taki, jak gdyby uszy moje napełniały się wodą, a w członkach uczulem kuczowe drganie. Pochwyciłem za rękę doktora, przycisnąłem ją z sił wszystkich, podniosłem się, obłąkany wzrok rzuciłem do koła. Stan ten trwał bardzo krótko; niebawem ustało we mnie teńnienie, puściłem rękę, którą trzymał, oczy mi się znowu przywarły, i ociężały upadłem na łożo. Jedyne przypomnienie, które zachowałem o tém, co później zaszło, były wyrazy stroskanego doktora G., który mając mię za umarłego, zawołał: «Pokój mu, już przestał cierpieć!»

Wiele upłynęło godzin za nim powróciła we mnie świadomość o sobie samym. Piérwsze uczucie, jakiego doznałem, było chłodne powietrze, przenikające zimném twarz moję; zdawało mi się, jakby okna mego pokoju były otwarte. Nie

mógłem podnieść powiek, tak niezmierny ciężar przyciskał je z góry; chciałem coś mówić, lecz usiłowanie nie wzięło skutku. W kilka chwil potem usłyszałem kroki wielu po pokoju chodzących osób, postawiono coś ciężkiego na ziemi, a ktoś głosem chrapliwym te wymówił wyrazy: «Wiliam H\* wieku 58; ja go miałem za starszego.» Słowa te przywiodły mi w pamięć wszystkie okoliczności mojej choroby, poznałem, że żęć już przestał, i że około mnie czyniono przygotowania do mego pogrzebu. Umarłem w istocie? Ciało wprawdzie było zimne i martwe, ale myśl jeszcze nie zgasła. Jakżeżto się stać mogło, abyście przemieszkiwało jeszcze w zimnych zwłokach, do ziemi przeznaczonych, kiedy wszelki ślad życia zniknął zewnątrz? O myśli okropna!... Żadnej, żadnej dla mnie nadziei! Czuję jak mię wkładano do trunny... W języku ludzkim nie masz wyrazów na oddanie całej okropności tej chwili trwogi śmiertelnej.

Jak długo zostawałem w tym stanie — nie wiem. Cisza gro-

howa, panująca w pokoju, znowu przerwana została; poznałem, że kilku z moich najlepszych przyjaciół przyszło, aby raz jeszcze mię widzieć, za nim wieko od trunny na zawsze mię nakryje. Tu stanęła mi w umyśle cała okropność tego, co mię czekało! W ciągu jednej minuty serce moje przeszło przez wszystkie stopnie męczarni całego wieku cierpień. «Jako!» rzekłem sam do siebie, «czyliż wszystko we mnie zaumarło, tak dusza jak i ciało, które ożywiła? Myśli jakie mam, dowodzą przecież o życiu w całej jego sile i dzielności. Cóż się stało z moją wolą działania, mówienia, widzenia, życia? Wszystko we mnie usnęło i ustało, jakbym nigdy nie żył. Czyliż to nerwy przestały pełnić rozkazy mózgu, czemuż te szybkie posłańce duszy opierają się teraz wykonywać jej wolę? Przyzwałem w pamięć kilka przykładów cudownej dzielności woli wtenczas, kiedy zebrana w jedno ognisko działa pod wpływem wielkiej konieczności. Tak jest, pomyśliłem w uniesieniu radości, tak, wola życia da ci moc do życia; tylko wtenczas,

kiedy ta zdolność w nas ustaje, wtenczas tylko śmierć bierze przewagę; to mi dało otuchę wskreszenia siebie siłą własnej woli. Lecz niestety! Ze zgrozą dziś jeszcze pomnę jak chwile upływały szybko, jak z przygotowań poznałem, że mięmiano niebawem w trunnie zamknąć na wieki. Nadaremnie gwałtem natężałem się chcąc nadąć piersi i odetchnąć. Boże mój! przestach daleko żywszy oziąnął mię niż piérwój. Słyszałem wbijanie goździ w deski mojej trunny... rozpacz!»

W tój chwili wszedł do pokoju pan E\*, najlepszy i najdawniejszy z moich przyjaciół. Długą odbył on podróż, aby mię, swego towarzysza młodości, raz jeszcze przed śmiercią pożegnał. Rozstapiono się przed nim, zbliżył się do mnie i rękę swą do mój piersi przyłożył. Ach! ciepło tój przyjacielskiej dłoni przenikło do głębi serca mego, i zrodziło w niém bicie. To bicie działało na całą moję istotę, krew zaczęła krążyć na nowo, nerwy zadrzały, a z oswobodzonej piersi wydarło się kurezowe, ciężkie westchnienie; muskuly moje wyprężyły się

jak liny okrętu na pełném morzu, odetchnąłem... Krzyk przestachu, i te słowa, którém w wyraźnie słyszał: «Żyje! żyje!» położyły koniec mojej trwodze. Zgielk i pomięszanie coraz się zwiększało; a ktoś zawołał: «Pan E\* zemdlął; wynieście go, aby się z nim nie widział, jak powróci do zmysłów,» Wołanie, rozkazy, krzyk przestachu coraz się bardziej zwiększały. Zgielk wkrótce doszedł do największego stopnia. Z wszystkiego co sobie przypomnieć mogę jest to, że mię wyjęto z trunny, i że przy roznieconym ogniu i w gronie pocziwych przyjaciół przyszedłem do życia.

Po kilku tygodniach wróciłem do zupełnej czérstwości i zdrowia; mogę powiedzieć, że śmierci z blizka zajrzał w oczy, że usta moje piły już z tój gorzkiej czary, którą kiedyś aż do dna wychylił mi przyjdzie.

---

#### DO MĘDRCÓW.

---

Mędrce z rozumu wielkimi,  
Co wszystko w księgach szperacie,  
Rogóz większego wy znacie,  
Co by przeszedł po tój ziemi.  
Co by dla świata przykładu  
Choć zły duch jak innych nęcił,

Nie zostawił grzechu śladu.

A krew swą prawdzie poświęcił.

Stare jest słońce na niebie,

Pokażcie co jaśniejszego

•Rochaj bliźniego jak siebie.

Powiedzcie mnie co lepszego.

•Miej w Stwórcy swym zaufanie.

•Jemu czyn tylko poklony

•Przebaczaj luboś skrzywdzony.

Ogłoście świętsze mnie zdanie.

To już się z moim nalogiem,

Z moją się wiarą rozstanę,

Powiem że JEZUS nie BOGIEM,

I waszym uczniem zostanę.

Tym czasem ukrzyżowany

JEZU całuję Twe rany:

Nie odpychasz grzesznych, dzięki,

Z Twój wsparcia, czekam ja ręki.

Szczęśliwy, kto w Cię uwierzy,

Kto jak ów celnik w kościele

Plače, i w pierś się uderzy,

I woła: •Grzesznym ja wiele!

Słyszac tej duszy jęczenia,

Powiesz jak do tej grzeszniczy:

•Wstań ty już z Twojej tęsknicy

•A nie chodź drogą zgorzenia.

---

#### ZRĘCZNA ODPOWIEDŹ.

---

Przejeżdżając przez małe miasteczko Napoleon, gdzie najęgo przyjęcie wielkie przygotowania porobiono, w pochlebnych wyrazach oświadczył swe zadowolenie Burmistrzowi, który go na czele obywateli przyjmując, w przemowie, tychże polecał jego opiece, dodając że są, ubodzy...

Kiedy tak Panie Burmistru, z zadziwieniem Césarz odpowiedział,? po cóż takie<sup>ż</sup>koszta na moje przyjęcie łożyli, byłbym się bez tego obszedł.

Ach! Najjaśniejszy Panie, rzekł Burmistrz, *winni to byliśmy zrobić... lecz winni jesteśmy za to, cośmy zrobili.* — Ta naiwna odpowiedź pobudziła Césarza do śmiechu, i rozkazał przed odjazdem wyliczyć Burmistrzowi paseset dukatów.

---

#### FRASZKA.

---

We wsi jednę przyszedł stary Włościanin zapraszać Panią na czwarte swoje wesele — Kiedyż będzie to wesele — W Niedzialek Miłościwa Pani — Czemuż lepiej nie w Niedzielę — O nie można u nas miłościwa Pani zenić się czwarty raz w Niedzielę — A to z jakiej przyczyny? Wahał się trochę kniołek nad wyjawieniem tejże, ale wreszcie na nią się zdobył. Dla tego rzecze: że do pierwszego małżeństwa Bóg nas doprowadza, do drugiego własna ochota, do trzeciego ludzie, a do czwartego sam szatan.